


# W poszukiwaniu swojego bioregionu

Refleksje bioregionalne

Nigdy wcześniej nie zastanawiałem się nad znaczeniem słowa bioregion. Próby zdefiniowania tego pojęcia w dostępnej literaturze jakoś mnie nie przekonywały. Czy taki byt istnieje? Sądzę, że tak. Myślę, że bioregion niekoniecznie musi zawierać tak szerokie spektrum znaczeń, jakie mu się przypisuje. Jeśli nawet zgodzimy się, że powinien obejmować niektóre aspekty ekologii, lokalną kulturę, miejscowe tradycje, bogactwo rodzimej flory i fauny, to zwykle ten, kto penetrował swój obszar życia, niektóre jego elementy pominie, a inne - wynikające z jego indywidualnego spojrzenia - wydobędzie z niebytu na światło dzienne.

Termin bioregion został wymyślony przez kanadyjskiego poetę. Zapewne każdy z nas jest na swój sposób  twórcą, poetą swojego życia, ma w sobie *iskrę bożą*, tylko czasami o tym zapomina. Jeśli zatem przyjdzie mu opisywać kiedyś swój bioregion, zrobi to po swojemu, bowiem będzie on dla niego uduchowionym tworzywem, twórczym żywiołem bądź rodzajem spowiedzi, oczyszczenia i terapii. W głębokim kontakcie ze swoją *krainą łagodności* będzie prowadzić z nią intymny dialog, będzie poszukiwać, odkrywać i powoływać do życia twórcze podmioty i zjawiska - tym samym wzbogacając swój bioregion w nowe treści i wartości.


Poszukiwanie swojego bioregionu rozpoczynam od miejsca, gdzie po raz pierwszy ujrzałem las. Dom dzieciństwa, w którym przyszło nam zamieszkać w małej miejscinie (Jankowa Żagańska), otoczony był z trzech stron lasem. Zlokalizowany na terenie rozdzielni prądu, wciśnięty między stalowe kratownice słupów, niemalże opasany siecią linii wysokiego napięcia - rozbiegających się we wszystkich kierunkach - słuchał ostrzegawczego buczenia dobiegającego z pokracznych transformatorów, niby nadciągającej apokalipsy. W tę niemal surrealistyczną scenerię wpisywała się od wschodu linia kolejowa, od zachodu szosa, a od północy tartak z hałdami trocin i tarcicy. Scenerii dopełniał obraz cegielni z dymiącymi kominami i księżycowym krajobrazem zwałów gliny. Nic dziwnego, że naturalnym odruchem była ucieczka z tego zaciskającego się wokół nas okrążenia. Najbliższym miejscem, gdzie mogliśmy poczuć się swobodniej był właśnie las. Tam ciągnęło nas najbardziej. W czasach dzieciństwa nie było to wcale łatwe, bowiem trzeba było przebijać się przez front wspomnianych przeszkód.

Z czasem tory kolejowe, szosa od południa czy wysoki płot okalający teren rozdzielni prądu nie stanowiły już przeszkód. Wtedy naszym oczom ukazał się las z jego ożywczym tchnieniem, bogactwem natury i tajemnicami. Pierwsze eskapady ograniczały się do jego obrzeży, tak abyśmy mogli słyszeć nawoływania rodziców, gdy zbliżała się pora obiadowa bądź nieubłagane wydłużały się przedwieczne cienie drzew. Wtedy jeszcze las nie otwierał się ku nam tak szeroko i szczerze, broniąc dostępu do siebie gęstymi młodnikami sośnin, wiecznie podmokłym terenem po wschodniej stronie czy strumykiem, który był dla nas granicą, *rubikonem*, której nie mieliśmy odwagi przekroczyć. Rośliśmy razem z lasem i coraz bardziej go podziwialiśmy, a on dostarczał nam nowych wiadomości, doświadczeń i wrażeń. Zwiąaliśmy się z nim na całe życie. Z biegiem lat nasze wędrówki wydłużały się w czasie i przestrzeni. Poznawaliśmy naturę i głębię lasu - jego dudniące serce. Chociaż las był wtedy miejscem beztroskich zabaw, niezliczonych przygód i wędrówek, to już wówczas odkrywaliśmy jego sekrety: wysokie rozpierające się między sosnami buki i dęby; buchtowiska, które napełniały nas trwogą; zagubione wśród drzew, zarastające oczka wodne; śródleśną łąkę, która niczym oaza na pustyni, była jedynym znakiem ludzkiego tu bytowania; gniazdo czarnego bociana, które podpatrywaliśmy z zapartym tchem; ukryte w gęstwinach źródelka licznych strumyków; rosnący gdzieś cis, którego bezskutecznie poszukiwaliśmy; ukryta w gęstym młodniku,

zbombardowana w czasie wojny filia niemieckiego stalagu VIII C, do której organizowaliśmy "naukowe" ekspedycje.

Wtedy też doświadczyliśmy pierwszych, przykrych dla nas przeżyć. Najbardziej w pamięci utkwiło nam wycięcie młodego, ale już dorodnego dębu, który rósł 50 m od domu, w rozwidleniu dróg. Było to miejsce, skąd wyznaczaliśmy azymut leśnych wędrówek i zabaw. Któregoś lata, wracając z wakacji na Mazowszu, zastaliśmy tam nienaturalnie puste miejsce, zroszoną trocinami trawę i wilgotny, oddychający jeszcze pień. Ktoś naruszył świętość tego miejsca, zabrał cień, który studził nasze rozpalone głowy, wkradł się w nasze niewinne dusze.

*Złoty Wiek* dzieciństwa i lat młodości nieubłaganie mijał. Któregoś dnia rzeczywistość zaprowadziła mnie do miasta. Kontakt z lasem rodzinnych stron nie był już tak częsty. Błądziłem po moim lesie oczami wyobraźni, spotykałem się z nim w snach, rozbudzając wspomnienia zabaw i przygód z lat młodzieńczych.

Pewnego razu śledząc mapę najbliższej okolicy, ze zdumieniem stwierdziłem, że nasz strumyk - który przecież  znaleźliśmy na pamięć; jego meandry pośród łąk i paproci; smak chłodnej, czystej wody, którą nie raz piliśmy - bierze początek w pobliskim lesie, w okolicy domu z lat dzieciństwa.

Postanowiłem ponownie, po latach, odkryć jego źródła. Któregoś lipcowego popołudnia przedzierając się w górę jego biegu dotarłem do miejsca, w którym rozdzielał się na dwie bliźniacze odnogi porośnięte gęstą świerczyną, z powalonymi przez wiatr starymi, obumierającymi świerkami i grząskimi buchtowiskami. Wybrałem odnogę o żywszym nurcie (ten odcinek wijący się pośród świerkowego młodnika nazwałem *Świerczak*) i po kilku minutach dotarłem do jego źródła.

Ucieszyłem się bardzo i zarazem zmartwiłem. Po dorodnych świerkach pozostały tylko murszejące karpy, ślady po bitwie, którą tu niegdyś stoczono. W niecce źródłiska rosły teraz młode świerki, sośnina i krzewy kruszyny. Pośród turzyc, paproci, falujących na wietrze trzęślic, między kępami borówki czernicy i wszędobylskiego mchu, spod obumierających korzeni świerkowych karp, było zyciodajne źródło - tętno strumienia.

Serce zabiło mi mocniej. Przecież znałem to miejsce. Tyle razy w młodości przechodziłem tędy, ale dopiero teraz ponownie naprawdę je odkrywałem. Źródło mojego dzieciństwa. Zdałem sobie sprawę, że stojąc w tym świętym miejscu, początku początków Wielkiego Obiegu Wód, również odkrywałem siebie w innym już czasie, innej przestrzeni. Źródło. Przedwieczne, naturalne miejsce zarania życia i nieustającego jego pulsowania. Tajemnica tajemnic Ziemi. Mogło przecież liczyć kilkanaście tysięcy lat, od czasu, gdy przetaczał się tu lodowiec, zostawiając po sobie malowniczy krajobraz. Przez ten czas zmieniała się szata roślinna, a źródło trwało tu od prawieków, widząc zapewne wiele dramatów i zdarzeń. Teraz jego woda, która przed chwilą muskała mi dłoń, dawała początek mojemu *Świerczakowi*. Ten wspierany drugą jego odnogą, zasilał wody Pławnej, ona z kolei wpadała na wysokości wsi Wilkowiska do Lubatki, ta do Czernej w Żagańcu. Czarna, jednocząc się z Bobrem w Żaganiu, niosła wespół z nim wartkie wody do Odry - zaś ta mozolnie toczyła je do Bałtyku. Być może część tych wód, niesiona morskimi prądami, opływając lądy ziemskich kontynentów, wmieszała się w ogromne, oceaniczne masy Atlantyku. Tam parując, wznosząc się do Słońca, gromadząc flotylle chmur, utworzy kiedyś atmosferyczny front. Któregoś dnia wróci z letnim deszczem nad ten ustronny skrawek ziemi, ze źródłem porośniętym sośninami, zamigocze na igłach świerka kroplami dżdżu, a po burzy tęczę zawisnie nad zdumionym światem.

Zacząłem się zastanawiać, które z tych źródełek (w pobliżu były jeszcze dwa) należy przyjąć jako właściwy początek Pławnej. Wokół jednego z nich, całkiem niedawno, nadleśnictwo wycięło stare świerki. Patrzyłem z niedowierzaniem na te odsłonięte, przeraźliwie puste miejsce. Zrobiło mi się smutno. Kilka dni później odwiedziłem źródłisko rzeczki Pławnej. Brała ona początek z mokradeł na pograniczu łąk i olszowych łęgów, wypływając z licznych wtedy wysięków. Teraz nie było tu ani

kropli wody. Od kilkunastu lat obecna tu susza, intensywne uprawy rolne i melioracje przyspieszyły wysychanie tego tajemniczego źródła. W każdym razie wyglądało na to, że teraz źródło, nad którym stałem owego lipcowego dnia, stało się początkiem biegu tej rzeczki. Stąd bowiem (i z dwóch pobliskich źródeł usytuowanych powyżej źródła) woda płynie jeszcze dość wartko. Ale tak naprawdę, strumieni, oczek wodnych i bagien jest w tej okolicy coraz mniej.

Mieszkając w mieście, długo nie mogłem przełamać syndromu wspomnień z lat dzieciństwa. Przede wszystkim  wydawało mi się, że okolice wokół Żar nie są interesujące przyrodniczo. Kilka wypadów poza miasto uzmysłowiło mi, jak bardzo się myliłem. W którymś momencie zdałem sobie sprawę, że mieszkając dłużej już czas w tej okolicy, właściwie jej nie znam. Jeszcze nieświadomy z lat dzieciństwa bioregion, którego teraz poszukiwałem, czekał cierpliwie na ponowne odkrycie. Ta pełna uroku, nietypowa kraina przyrodnicza okolic Żar i Żagania, zróżnicowana morfologicznie i środowiskowo z kilkoma ostojami zwierząt i stanowiskami rzadkich gatunków roślin, w kilku miejscach sprawiała wrażenie niedostępności. Liczne wzgórza i dolinki, mozaiki łąk, lasów i oczek wodnych oraz wijące się pomiędzy nimi rzeczki i strumienie, zachęcały do odkrywczych wędrówek.

Na bogactwo tych okolic złożyły się zarówno czynniki naturalne, jak i antropogeniczne. Ten niezwykle ciekawy obszar położony pomiędzy Wzniesieniami Żarskimi (z porośniętą buczyną Górą Żarską, najwyższym na Ziemi Lubuskiej wzniesieniem - 227 m n.p.m.) a Wzgórzami Dalkowskimi (które szeroko rozciąga dolina Bobru), zamyka od południa jeden z największych w kraju kompleksów leśnych - Bory Dolnośląskie. Na skraju tych borów mieszkałem 26 lat. Ze wzgórz okalających Żary bierze początek większość małych rzek i strumieni. Na zachodzie część z nich, m.in. Lubsza i Skróda, spływa do Nysy Łużyckiej. Na wschodzie zaś płynące równolegle i blisko siebie niewielkie, urokliwe rzeczki Złota Struga, Czerwona Woda, Lubatka, Schodnia zbiera Czarna, największy dopływ Bobru.


Obszar ten powstał podczas jednego ze starszych zlodowaceń plejstocenu. Łądolód, który tu wkroczył, spiętrzył część materiału skalnego, tworząc moreny czołowe (Wzniesienia Żarskie) oraz pofałdowane wysoczyzny moren dennych. W wielu miejscach pozostawił po sobie ciągi ozów i kemów, przy których powstały torfowiska. Przed czołem spływające z łądolodu wody usypały pola sandrowe (malownicze pagórki - sandr Skródy - otrzymały barwną nazwę Gór Kocich) oraz utworzyły doliny i terasy rzeczne. Przeważającą formacją roślinną tych okolic są suche i świeże bory, miejscami można tu spotkać bory wilgotne, lasy mieszane, a nad wodami olsy i liczne łągi. Ze względu na ukształtowanie terenu oraz mikroklimat, występuje tu kilka gatunków roślin górskich np. paproć pióropusznik strusi, arnika górską (podobno), natomiast łagodny klimat i duża wilgotność sprzyjają rozwojowi roślin atlantyckich. Spotykane są tu np. wrzosiec bagienny, paproć długosz królewski. Przebiega tu też północna granica zasięgu jodły i świerka pospolitego. Warunki roślinne i niedostępność wielu jeszcze miejsc sprzyjają rozwojowi świata zwierzęcego. Pośród stawów, podmokłych łąk i torfowisk można spotkać polujące błotniaki stawowe, a nawet orły bieliki. Można tu jeszcze wypatrzeć wydry, bobry oraz sporo rzadkich gatunków płazów i gadów, m.in. rzekotki i żaby zwinki, a wśród pól i łąk bogactwo gnieźdzącej się awifauny. Tereny te, bogate w piaski szklarskie, iły ceramiczne i węgiel brunatny stały się od początku XIX w. polem rozległej działalności wydobywczej. Powstałe odkrywki i zapadiska z czasem wypełniły się wodą. Po wielu latach - od ustania tej rabunkowej eksploatacji - pokopalniane bagna i oczka wodne wkomponowały się w krajobraz, stając się siedliskiem ciekawych roślin, m.in. grzybieni białych i grązeli żółtych.

To właśnie wędrując wspomnianymi rzeczkami i strumieniami, wyobrażając sobie, jak wyglądał ten obszar  przed tysiącami lat geologicznej przeszłości, jak żyły tu ludy starożytnych kultur, jak przebiegało osiedlanie się Łużyczan i pierwszych plemion słowiańskich, jak kształtowały się początki państwowości Wschodnich Łużyc w tej zawilej historii pogranicza polsko-niemieckiego - pomyślałem, że to być może właśnie tu znajduje się mój poszukiwany bioregion. *Terra Sarove* roztaczała przede mną swoje bogactwo flory, fauny, rzeźby terenu i architektury sakralnej, kusiła, abym wyruszył na

poszukiwanie jej przyrodniczego *eldorado*. Po jednej z wielu takich wędrówek, stwierdziłem ze zdziwieniem, że obszar, w którym spędziłem lata dzieciństwa i młodości, jednoczył się w jakiś cudowny sposób z miejscem mojego urodzenia i obecnego tu zamieszkania. Oba te regiony łączyły wypływające ze Wzniesień Żarskich rzeczki i strumienie, które wpływały do Czernej, rzeki w wielu miejscach jeszcze dzikiej, z licznymi starorzeczami i wyspami, odległej zaledwie 5 km od domu z lat dzieciństwa. Utworzył się jakiś tajemniczy krąg, w który wpisywały się: od wschodu Czarna od północy i zachodu Wzniesienia Żarskie, a od południa Bory Dolnośląskie, którego promieniami były strumienie i rzeczki. Wędrując nimi - od ujścia do źródeł lub odwrotnie - mogłem przemierzać tę swoistą mapę mojego *obszaru życia* od miejsca urodzenia (w Żarach), poprzez lata dzieciństwa i młodości, aż do miejsca, gdzie obecnie mieszkam i skąd rozpocząłem swoją wędrówkę przez życie. Przemierzałem zachłannie wszystkie te cztery rzeczki radując się każdym odkrytym miejscem, każdą napotkaną roślinką, które na nowo nazwane, stawały się częścią mojej duszy. Smuciłem się ogromem zniszczeń, jakich dokonał tu człowiek zmuszając te niewinne żywioły, by płynęły według jego widzimisię, kalecząc i dziurawiąc ziemię, która tu spokojnie spała przez tysiąclecia.

I chociaż człowiek, marnotrawny syn matki Ziemi, wyrządził jej tyle szkód, ona niezmiennie wybacza mu tę lekceważącą bez troskę, prosi, aby chociaż na chwilę przystanął i z pokorą wysłuchał jej skarg, zamyślił się nad sobą, nad cierpieniem, które zadaje jej każdego dnia.

Wędrując wzdłuż rzeki Złotej Strugi, która w obrębie miasta nosi nazwę Żarka i obecnie jest przykrytym kanałem ściekowym, wstydziłem się, że jestem mieszkańcem Żar. Przed prawie tysiącem lat początek miastu dał gród założony właśnie w dolinie tej rzeczki. To tu zamieszkiwało niewielkie, niezależne plemię słowiańskie Zara. Biskup Thietmar, m.in. uczestnik pielgrzymki Ottona III do Gniezna, zanotował w swojej kronice pod rokiem 1007: *Bolislavius autem Luzici, Zara et Selpuli denuo occupat* - Bolesław tymczasem na nowo zajął Łużyce, Zara i kraj Słupian. Jeszcze po II wojnie światowej rzeczka płynęła odkryta, podziwiając niszczonego zamkowo-pałacowy kompleks Dewinów-Bibersteinów-Promnitzów, dawnych właścicieli tych ziem. Teraz wypływając z miasta, łącząc się z jej nieco czystszy dopływem - Złotym Potokiem, płynęła w milczeniu, obrażona na tę ludzką niefrasobliwość. Po kilku kilometrach, przecinając niewielkie wzgórze, wreszcie odezwała się do mnie żywszym nurtem. Po chwili zamyślona rozlała swoje martwe wody pośród łągów i roślin (aż dziw bierze, że nad jej wodami można spotkać spore kępy pióropusznika strusiego), by po chwili już na dobre przestać się gniewać, tworząc wspaniałe meandry, małe wodospady, którym przypatrywały się - stojące nad jej urokliwą dolinką - dorodne dęby. Wreszcie, zawstydzona wlała swoje wody do Czernej. Idąc na południe wzdłuż Czernej, dotarłem do Lubatki, rzeczki mojego dzieciństwa. Po drodze w jednym ze starorzeczy Czernej natknąłem się na *Spotkanie Dębowej Braci* - tak nazwałem uroczysko nad jej wodami. Nie przeszkadzając im w intymnej rozmowie, najciszej jak mogłem wycofałem się i po chwili już przytulałem się do Lubatki.

Jest to czysta rzeczka. Od kilkunastu lat królują tu ugory i nieużytki. Upadł zakład ceramiczny, zamknięto  kopalnie węgla brunatnego, zasyła się gdzieś w gąszczach olch i trzciniisk nieczynna już elektrownia, dawno nie obracają się turbiny dwóch młynów wodnych, a sporo gospodarstw wybudowało szamba. Idąc wzdłuż jej brzegów wspominałem leżącą nad nią szkołę podstawową, do której chodziłem kasztanową drogą, kościółek, w którym otrzymałem pierwszą komunię i dom, gdzie mieszkałem (jakiś czas) jako młody żonkoś. Lubatka ma co najmniej kilkanaście źródełek, z których wypływają strumyki - jej dopływy. Kilka z tych strumyczków ma początek w okolicy domu mojego dzieciństwa. Przy jednym ze źródeł Lubatki (już w okolicach Żar) rośnie stara wierzba. Wydawałoby się, że lada dzień umrze, ale w cudowny sposób wystrzeżiło z niej kilkadziesiąt okazałych, żywotnych pędów. Życie i śmierć umówiły się tu chyba na długą jeszcze pogawędkę. Najmniejsza z tych czterech rzeczek, Schodnia, jako jedyna płynie - od źródła do ujścia - przez sosnowo-świerkowe bory, tworząc w początkowym biegu niewielkie olszowe łągi. Spotkałem tu spory zagajnik brzozy omszonej i parę krzewów kaliny koralowej. Byłem przekonany, że człowiek pozwolił płynąć spokojnie tej

rzeczce w ciszy leśnej głuszy. I tu srodze się zawiodłem. Już w samym źródliku (zatorfionej łące) wykopano rowy odwadniające (co jest tu zresztą nagminną praktyką), uszczuplając wydatnie dawną obfitość wód jej źródlika. Płynąc teraz cienką stróżką, rzeczka musiała przebijać się przez betonowe przepusty licznych leśnych dróg. Przy jednej z nich, nie mogąc wspiać się do krawędzi przepustu, skończyła swój żywot. Żegnając się z nią w poczuciu winy, szedłem w milczeniu jej wyschniętym korytem, mijając rowy, którymi dawniej próbowano nawadniać posadzone wcześniej świerkowe młodniki. Warstwa żwiru i piasku w jej korycie, wskazywały, że ta życiodajna rzeczka miała kiedyś dość wartki nurt. Niczego nie chciałem więcej, tylko tego, by ta biedna rzeczka ożyła. I stał się cud. Wysłuchano moich modłów. Po chwili jej dno zaczęło wilgotnieć. Zrazu wolno, później zwawiej, radując się ze swojego niezwykłego ocalenia, pobiegła przywitać się ze swoją matką - Czerną. A ja, zadumany i szczęśliwy, przystanąłem pośród rozłożystych świerków, przy jednym z jej zakoli, urokliwej *Dolinie Zastłuchanych Świerków*.

Większość tutejszych strumieni i rzeczek płynie przez wsie ze średniowiecznymi kościółkami. Zagubione pośród leśnych kompleksów, wyłaniają się z sosnowego królestwa drzew niczym nieziemskie zjawy. Niektóre z nich mają długi rodowód. O wsi Lutynka wspominają już historyczne źródła z X w. Prawdopodobnie drewniany kościółek wybudowano tam już w XII w. Przebudowany w XV w., z dzwonnica i murem z polnego kamienia, przy których wkopano dwa krzyże pokutne upamiętniające haniebne występki jakichś osobników, stojąc na wzgórzu niczym latarnia, wpatruje się w otaczające ją rozległe Bory Dolnośląskie. Tych wsi pilnują *Strażnicy Lasu*, ogromne, pomnikowe, w większości stare dęby rosnące na ich skraju. Dwa takie dęby (jeszcze młodzieńcy), niczym wrota do lasu stoją na skraju łąk i pól wpatrując się w strzelistą wieżę XIV-wiecznego kościółka w Koninie Żagańskim. Dwie potęgi, tysiącletnie chrześcijaństwo i ostatni przedstawiciele przedwiecznej puszczy, wzajem się tu podziwiają w majestacie powagi. Jeden ze *Strażników Lasu*, ogromny (blisko 7 m w obwodzie) kilkusetletni dąb, nestor strażników w Straszowie, targany przez ziemskie żywioły, opierający się wichrom dziejów, dożywał tu sędziwej starości nieopodal ruin gotyckiego kościółka. Któregoś lata nad tą zagubioną pośród borów wsią rozpętała się burza. Jednego z piorunów przyciągnęły fantastycznie wyrzeźbione przez czas konary tego niegdyś dębowego kolosa. Jacyś poczciwi ludzie usunęli (pewnie ażeby ich nie straszyły) jego zwęglone szczątki. Teraz w tym miejscu ostał się tylko krąg wypalonego olbrzymiego pnia (przypominający megalityczne kromlechy ze Stonehenge), wokół którego wyrosła dzika róża upiększając każdej wiosny to miejsce swoimi wonnymi kwiatami. Teraz rolę *Strażnika Lasu* objął inny pomnikowy dąb, młodszy jego potomek rosnący tuż obok.

Wiele tu można znaleźć przykładów, gdzie przyroda nie dała za wygraną, przechytrzając człowieka. Przy jednym ze źródełek Pławnej wykonano zastawki i wykopano stawy, tworząc coś w rodzaju leśnej rekreacji. Po wielu latach (od śmierci właściciela tych stawów), gdy już wszyscy zapomnieli o tym miejscu, woda sama zatroszczyła się o nie, usuwając częściowo zastawki, tworząc wokół otulinę z roślin bagiennych i olch. Kiedy ostatni raz tam byłem, z trudem rozpoznawałem to miejsce. Miniaturowe, teraz zarośnięte oczka wodne wspaniale wkomponowały się w sosnowo-olchowe otoczenie, poszerzając obszar źródlika tego strumyka. Nad brzegiem rośnie bagno zwyczajne, a dno niegdyśszych stawów wymoszczone jest grubym kożuchem mchów. Drugim takim przykładem jest śródleśna łąka tegoż samego właściciela. Kiedy ją ostatnio odwiedziłem, sośniny, brzeziny i olchy zawzięcie walczyły tu o każdy promyk słońca, o każdy metr przestrzeni. Jeszcze innym przykładem są liczne tu łęgi olszowe powstające... no właśnie, przy zarwanych bądź od lat nieczyszczonych przez człowieka przepustach. Wiosenne, wezbrane wody strumyków powodują naturalną retencję i podtopienia terenu, mozolnie i cierpliwie tworząc tu środowisko dla rozwoju wielu roślin i osiedlania się zwierząt.

Chodząc po tej ziemi czuje się historię, nie tylko tę zapisaną w drewnie i polnym kamieniu, z którego budowano większość średniowiecznych budowli, ale i tę starszą, geologiczną - ich poprzedniczkę.

Jest jeszcze coś, co sprawia, że moje wędrówki po lesie z jego wszystkimi istotami, żywiołami i zjawiskami - nostalgiczną tęczę, popołudniową burzą, zapachem żywicy, ptasim nawoływaniem, rozedrganym cieniem, poranną rosą, pobrzmiwającym echem, barwami życia - nabierają szczególnego charakteru. To duchowa z nim więź, magia miejsca, której nie sposób odczytać, immanentne spojrzenie na rzeczywistość i jej mistyczne przeżywanie, którego nie odda nawet szczególny język poezji. Jakaś bliżej nieokreślona jaźń, wspólna dla ludzkiej duchowości i całej sfery zjawisk przyrodniczych, powoduje ich wzajemne się przenikanie i wypełnianie. Wszystkie te odczucia i osobliwości objawiają się tu i teraz, w tej jedynej, niepowtarzalnej chwili. Ale wystarczy mrugnięcie powieki, muśnięcie wiatru, by te niebywałe światy ciągle ożywały, chociaż w innej już czasoprzestrzeni, to jednak wciąż w tym samym miejscu, w moim - być może - poszukiwanym tu bioregionie.

**Roman Rys**